

Magia świąt jest jakby coraz bardziej rozciągnięta w czasoprzestrzeni

23 grudnia 2018

Urodziłem się i wychowałem w Warszawie. W Londynie mieszkam od roku 1987. Prowadzę firmę informatyczną. Udzielam się też charytatywnie na rzecz polskiej społeczności w Londynie – jestem prezesem Polskiej Szkoły Sobotniej na Ealingu. Kiedy przyjechałem do Wielkiej Brytanii pod koniec lat 1980., byłem pełen optymizmu i nie zastanawiałem się zbytnio nad rozłąką z rodziną. Patrzyłem z ufnością w przyszłość i w nowe, ciekawe życie.

Jednak, kiedy nadeszły pierwsze święta Bożego Narodzenia zdałem sobie sprawę jak daleko, dosłownie i w przenośni, znajdowała się rodzina i przyjaciele w Polsce.

Święta zaczynały się na długo przed pierwszą gwiazdką – od pisania listów i kartek. Nie było wtedy w polskim zwyczaju kupowanie kartek z nadrukiem i podpisywanie ich trzema słowami. Każdy list był prawdziwym wypracowaniem – wszyscy byli ciekawi wiadomości z „dalekiego kraju” i jak mi się wiedzie. Listów było wiele, więc do pisania trzeba było się zabrać z dużym wyprzedzeniem. Zwłaszcza jeżeli się chciało, aby doszły na czas. Było to może pracochłonne, ale w jakimś sensie człowiek wciągał się w tę komunikację bardziej i duchowo łączył się z bliskimi.

Potem były przygotowania do samych świąt. Jedną z najmielszych i wzruszających atrakcji były zakupy w Prima Delicatessen na North End Road. Polskich sklepów było wtedy jak na lekarstwo i w kolejce po wędliny czy śledzia (karpia nawet tam nie było) spotykał się cały emigracyjny Londyn. Ponieważ na co dzień nie miałem zbyt wiele styczności z polską społecznością, była to

dla mnie wzruszająca okazja spotkania rodaków i podzielenia się z nimi swoimi przeżyciami. Poznałem wtedy wiele ciekawych osób z różnych kręgów emigracyjnych, a z niektórymi do dzisiaj utrzymuję kontakt.

Jest coś w duszy emigranta, co nakazuje mu stworzenie sobie małego skrawka kraju. Dla mnie było to pielęgnowanie świątecznych tradycji. To one dawały namiastkę rodzinnego domu. Było ich wiele. Chóinkę kupowało się i ubierało dopiero 24. rano – co miało też duże korzyści, bo handlarze oddawali je już wtedy prawie za darmo. Do Wigilii zasiadało się przy pierwszej gwiazdce, chociaż przy angielskim zachmurzonym niebie była ona często wynikiem wyobraźni. Przed wieczerzą krótka modlitwa i dzielenie się opłatkiem. Później wigilijne potrawy, takie jakie gotowała Mama: śledź w oleju, barszcz z uszkami, pierogi z kapustą, makiełki, kompot z suszu i inne. Musiało być ich oczywiście trzynaście. Do odpowiedniej liczby potraw wigilijnych czasem doliczane były na wszelki wypadek pieprz i sól, żeby wszystko się zgadzało. Na zbłąkanego gościa czekało dodatkowe nakrycie.

Jednak najbardziej utęsknionym wydarzeniem była rozmowa telefoniczna z bliskimi. W tamtych czasach była to jedyna forma bezpośredniej komunikacji. Dodzwonić się nie było łatwo, bo cały Londyn też to robił, a ilość międzynarodowych łączy była ograniczona. To „łamanie się opłatkiem przez telefon” było zawsze specjalne. Każdy uzmysławiał sobie jak bardzo tęskni i jak bardzo chciałby być z bliskimi przy wigilijnym stole. Wzruszeniom nie było końca i lało się wiele łez.

Tym tradycjom jestem wierny do dziś. Bardzo o nie dbam, na pewno bardziej niż gdy byłem w Polsce. A może jest to po prostu wynikiem przejmowania obowiązków przez kolejne pokolenia. Staram się też, aby tradycjom wierne były moje dzieci i mam nadzieję, że pozostaną one dla nich polską częścią ich tożsamości.

Wiele się od moich pierwszych świąt w Londynie zmieniło.

Naturalna ciekawość świata kazała mi poznać i przyjąć wiele nowych zwyczajów. Jest na przykład oczywistym, że święta obchodzi się dwukrotnie – w polską Wigilię oraz jedząc tradycyjnego angielskiego indyka w pierwszy dzień świąt. Dzieci nie mają nic przeciwko otrzymywaniu prezentów w wieczór wigilijny zgodnie z polską tradycją i następnego dnia rano w pierwszy dzień świąt jak tylko, zgodnie z angielskim zwyczajem, Mikołaj wypije pół szklanki mleka, zje kawałek ciasteczka i zniknie w kominie.

Po zakupy nie trzeba już jeździć na zatłoczoną North End Road. Wystarczy wyskoczyć w ostatniej chwili do jednego z wielu polskich sklepów, gdzie wszystkich wigilijnych składników jest w bród. Godzina i wszystko załatwione.

Inne są też kontakty z rodziną. Dzięki technologiom takim jak internet czy smartfony, dzięki tanim przelotom, odległość do Polski znacznie zmalała. Teraz można spędzić praktycznie całą Wigilię mając rodzinę poprzez Skype'a na dużym ekranie i jedząc z nimi wspólnie kolację i wirtualnie wręczając sobie prezenty. Albo wsiąść w samolot i polecieć do Polski. Nie wysyła się już też pieczołowicie pisanych listów i kartek. Zastąpiły je dziesiątki wysyłanych do wszystkich wkoło SMS-ów, których treść łatwo można skopiować od innych.

Jest inaczej. Czy gorzej? Z pewnością nie. Chociaż trudno jest mi się przyzwyczaić do tego, że dekoracje świąteczne zaczynają pojawiać się już w listopadzie i we wszystkich sklepach do znudzenia puszczane są świąteczne piosenki. Magia świąt jest jakby coraz bardziej rozciągnięta w czasoprzestrzeni. Jednak co się nie zmienia to cudowna atmosfera przy stole wigilijnym, kiedy do stołu zasiada cała rodzina, aby podzielić się opłatkiem.

Autorstwo: Jarosław Skrepta

Opracowanie: Dariusz A. Zeller

Źródło: Cooltura24.co.uk